



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

ENTUZYSTKA—MATKA.

Raz mi mówiono, że są tu na ziemi
Białe anioły z skrzydłami białemi,
Które gdy wezmą w poświęcone dłonie
Serce człowiecze, to je drogą świata
Niosą bezpieczne, czyste, nieskalane,
Promieniem myśli Bożej rozjaśnione,
I tchnieniem Bożej miłości ogrzane...
I jam się pytał, gdzie anioły takie?
A przy mnie wtedy matka moja stała,
Włos rozgarniała, czoło całowała...

Serce człowieka wziąć w dłonie poświęcone, nieść je bezpiecznie, czyste, nieskalane ponad kałuże, błota, przepaści świata — oto pojęcie macierzyńskiego zadania, macierzyńskiego obowiązku, postawione przed kobietą naszą, i gdzie się dziecko w myśl takiej idei chowa, gdzie się matka taką ideą rządzi, tam znajdujemy nie tradycyi entuzyastek niezerwaną. „Otrzymałam człowieka przez Boga!” woła biblijna Ewa i powtarza każda Entuzyastka, gdy matką zostanie. Dziecko to, nietylko przedmiot dla jej miłości, to wielki zakład powierzony jej straż, wielka misja związana z wielką odpowiedzialnością. Godność macierzyńska przychodzi kobiecie przez to, że dziecko swoje chowa i łączy się ona nie z fizycznym, ale z moralnym macierzyństwem, które społeczeństwu człowieka, kształci i urabia. Każda matka jest jakoby urzędniczką swego narodu i w tej to myśli Stuart Mill usuwa ją z szeregu tych kobiet, które w Anglii zaczynają się cisnąć do urny wy-

bornej. Spełnia już ona obywatelską swą służbę na polu innym i być matką dzieciom, dość to jest pracy i godności dla jednej istoty ludzkiej — jest to ogromnie, niezmiernie wiele, jeżeli zadanie swoje pojmuje dobrze, głęboko, jeżeli mu się odda z przejęciem.

Miłość matki dla dziecka jest rzeczą tak ogólną, że się stała powszednią, bo jest ona wrodzoną, trzeba powiedzieć instynktowną, i tam gdzie jej brakuje, zaczyna się już potworność, wyrodzenie się z typu kobiecego i budzi to w ludziach nietylko pojęcie winy, ale wstręt, jakim przejmują wszelką nieprawidłowość, wykrzywienie form, wynikłych z myśli stwarzającej, z myśli Bożej. Ale dlatego właśnie miłość macierzyńska sama przez się jeszcze cnotą nie jest, nie jest zasługą żadną, jeżeli nie podniesie się wyżej, nie uszlachetni połotem idealnym i gdy pozostanie w granicach popędu naturalnego — będzie mocą ślepą, bezwiedną, miotającą się koło przedmiotu troskliwości swojej bardziej namiętnie, niż rozumnie i świecie, niż miłośnie w wyższym tego słowa znaczeniu.

Trzeba mieć „poświęcone dłonie“ aby czyste, nieskalane, bezpieczne serce człowieka, unieść ponad kałuże i przepaści świata; trzeba zatem uświęcenia miłości macierzyńskiej, aby wychowanie mogło sprostać zadaniu swemu, i ta matka florencka, która w trwodze o dziecko swoje, lwnu w paszczę się rzuca, to jeszcze nie najwyższosc macierzyńskiego uczucia, nie pierwowzór matki najlepszej. Wzrusza nas ta bohaterka życia ofiara, to wydanie się śmierci za ukochanie swoje, i jest w tem niewątpliwie wielkoduszność, jest piękno moralne; ale są matki w poświęceniach swych wyższe jeszcze, gdzie miłość nad samą miłość się podnosi i spełnia ofiarę w pożądaniu dla dzieci, dobra i piękna moralnego, które jest droższem w ich oczach nad życie. Dopina tego tylko duch ludzki do wysokiego ideału podniesiony, gdy widzieć możemy co dzień, że każda kwoka kurczęta swe wodząca, każda gęś bie-

dna, która szereg gąsiąt na wodę prowadzi, z rozpostartymi wojowniczo skrzydłami, z podniesionym, syczącym dziobem, miota się na kota lub kundla, czy brytana olbrzyma, siłę niemniej od lwa straszną dla niej i niszczącą. Działa tu zachowawcza potęga natury, broniąca za pośrednictwem ich rodzicielki istoty młode i bezbronne jeszcze, i miłość macierzyńska, poświęcenie macierzyńskie wtedy tylko do znaczenia cnoty ludzkiej, do godności ludzkiego bohaterstwa wyrasta, gdy celem jej troskliwości, trudów i ofiar miłosnych jest nie sam fizyczny dziecka dobrobyt, nie samo fizyczne dziecka zachowanie.

I tylko też taka nazwa dobrej matki dostać może prawo do zasługi i względów, jakie ludzkość macierzyństwu okazuje i — powiedzmy słowo przykre — taka jedynie dostaje pełną nagrodę trudów swoich w miłości i szacunku dziecka, w miarę, gdy podrastając, coś już rozumieć, coś już pojmować umie i nad proste wrażenie wygody i niewygody się podnosi. Wszyscy o tem wiedzą, że dzieci bardzo pieszczone najmniej dobrmi, najmniej wdzięcznymi dziećmi się stają, i to nietylko z powodu, że psujące pieszczoty egoizm w nich szczepią, samolubstwo rozwijają. Nie, działa tu jeszcze uczucie inne, i jeżeli dziecko takiej matki przez jakies szczęśliwe wpływy lub własnego ducha siłę, nie stało się zupełnie miękka, lichą istotą, jeżeli nie zatoneło całkowicie w nicościach, które otacza je nadmierna troskliwość matek, zwanych pospolicie matkami pieszcząciami, dziecko owo, rosnąc, zabieg i ofiary w tem kierunku niesione coraz mniej ceni, wdzięcznym uczuciem za nie nie płaci; aż w końcu matka sama, która się o nie rozpada, małą, drobiazgową istotą mu się wydaje i nieraz, o nieraz, niestety! szacunek dla niej w duszy dziecka maleje, nieraz, u chłopców szczególnie, matkę taką za coś gatunkowo niższego uważają. Matka Entuzyastka przeciwnie, coraz więcej w oczach dzieci rośnie; czem starsze są, czem więcej odsłaniają im się widnokrepi życia szersze,

tem na wspomnienie jej nauk podniosłych, jej hartu ducha i hartowanie ich samych, czują wzmagającą się dla niej cześć, którą potęguje zapal młodzieńczy i miłość z uszanowaniem złączona, czyni z matki najdroższą dla serca dziecka istotę—tak drogą, tak ukochaną, że już potem żadne inne uczucie nad przywiązaniem do niej zapanować nie może, nie może go przewyższyć.

Gdy Waszyngton, mając lat 16-cie i pociągnięty przez stosunki szkolne z młodymi Anglikami, chciał wstąpić do marynarki angielskiej, co niebogatomu młodzieńcowi zapewniało przyszłość, matka stawiała temu opór gniewny: — Nie—rzekła mu—nie tam miejsce twoje, boś ty jest Amerykanin. — To też potem, gdy Lafayette, chcąc stać się jej przyjemnym, mówił jej o chwale i znaczeniu jej syna, ta Entuzjastka matka odparła z dumną prostotą: — „Nauczyłam go cnoty, a reszta przyszła z kolei”.

Kiedy po zawieszeniu, a raczej złożeniu broni przez angielskiego wodza, lorda Cornwallis, otrzymała o tem wiadomość, wykrzyk, który się wydarł z jej piersi, nie był: — Syn mój jest wielkim.... syn mój jest pierwszym wśród narodu, ale pod wzruszeniem uczuć wyższych zawołała:

— Chwała Bogu! Ameryka jest wolną i będziemy mieć wkrótce pokój....

To też gdy ten syn, którego w dwojakim znaczeniu ona darowała Ameryce, wracał w swoje strony po zwycięstwie ostatecznym, i jechał otoczony świetnym sztabem, w pokornym niemal uszanowaniu dla matki wysłał do niej przodem gońca z zapytaniem: jak chce, aby do niej przybył?

— Sam — odpowiedziała — chciała ujrzeć jego: dziecko wnętrzości i ducha swojego, a nie generała i tak też przybył do niej, posłuszny. Ale nazajutrz, na wielkim zgromadzeniu miejscowych notablów, na wielkim balu danym na cześć Waszyngtona i Lafayette'a, który przybył, aby pożegnać wodza, stara matka ukazała się obok syna, ubrana skromnie, nawet prosto, a jednak Lafayette, przyzwyczajony do wielkiego tonu szlachty francuzkiej, przyzwyczajony do świetności i przepychu francuzkiego dworu, ukląkł potem przed nią i prosił o błogosławieństwo tak, jakgdyby to była własna jego matka. Ona-to dała synowi swemu cnotę, a reszta przyszła z kolei....

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Budowa z kopułką u góry, dwupiętrowa, ze wewnątrz całe ściany miała sukmem zielonem obite, wewnątrz, gdzie król miał się mieścić, takimże axamitem ze złotymi galonami, frędzlami, sznurami i kutasami. Na piętrze podłoga wysłana miękkim marmurkami, broniła od chłodu, dokoła zaś altany dosyć szeroko dla mających tu stać myśliwych rozłożono skóry niedźwiedzie.

Cała służba Radziwiłłowska łowiecka, w nowej barwie, zielono ze złotem poubierana, strojna, jak wojsko wyćwiczona, dobrana dla oka, miała na czele Wolskiego, na ten dzień z wielką elegancją i przepychem ubranego, z trąbką złocistą przez plecy, w kapelusiku z piórkiem na ufryzowanej głowie.

U bramy książę chorąży, z miecznikiem litewskim, z kilku Radziwiłłami, wśród których dziwnie dosyć wyglądał uczony regimentarz, czekała aby tu przyjąć N. Pana.

Chorąży pomimo nóg obrzękłych kazał się na koń wsadzić, i miał też trąbkę przez plecy, dla da-

wania znaków, kołpak sobolowy z kitą dyamentową, delią zieloną, a spodem ubranie axamitne majowego koloru.

Galerye dla widzów wystawione oddawna były przepelnione, tak, że się obawiać musiano, czy ciężar ten utrzymają, a poza ogrodzeniem, na rzeczce, dokoła tysiące ludu cisnęło się patrzeć na to osobliwsze widowisko. Dzień, choć niezbyt jasny, sprzyjał zabawie, ani mrozu bowiem, ani wiatru wielkiego nie było.

Co miała Warszawa i okolica znakomitszego, zamożniejszego, zbiegło się tu wszystko, a i z dalszych stron napłynęło szlachty; ale mało wybranych dopuścić miano do królewskiej altany.

O godzinie naznaczonej ukazały się myśliwskie ekipaże królewskie: król z synem po łowiecku ubrani, Brühl stary i młody, kilkunastu grafów i baronów saskich, dwór polski. Chorąży, szczęśliwy, że się tej godziny doczekał, witał — i bito z moździerzy.

Zapalony myśliwiec, król, pozdrowiwszy gospodarza, oczyma pożerał ów las, przygotowania całe, i choć miał wiadomości o wielkich księcia staraniach około tych łowów, oczom prawie wierzyć nie chciał, tak się to pięknie i wspaniale wydawało.

Twarz jego, rumiana, pełna, gdy dobrej myśli bywał, flegmatycznie się uśmiechająca z powagą pańską, dnia tego szczególniejszą jaśniała gorączką myśliwską. Na innych panów obliczach ciekawość też i humory wesołe widać było. Chorąży czuł się prawdziwym dnia tego solenizantem. Miał okazać tu całą swą magnata potęgę, dla którego nie było niepodobieństwem, las posadzić, dzikiego zwierza zmusić, aby służył mu do zabawy — przenieść litewską puszcę pod Warszawę. Opisywać tych łowów nie będziemy. Na dany znak wypuszczano kolejną wystraszonego, wyłódnzonego, oszalałego zwierza, który w początkach cofał się i iść nie chciał, potem gnany i szarpany przez psy, wpadał we wściekłość, bronił się rozpaczliwie.

Pod altaną znaleźli się jeszcze starego obyczaju i siły ludzie, którzy na niedźwiedzie z oszczepami się rzucali. Król nieustannie z podawanej mu i nabijanej broni, strzelał, nie spoczywając, każdy swój trafny strzał witając śmiechem, gdy inni oklaskami i okrzykami go pozdrawiali.

Przyznać to musiał Augustowi III nawet niechętny, że strzelał doskonale, nie chybiał prawie, a był nienasycony.

Widok zwierza wprawiał go w gorączkę, a gdy się pokazały łosie, i razem puszczone wyłódnzone wilki, które się na nie rzucały pod samą altanę, na ludzi niezważając — król i do łosów i do wilków razem strzelał, śmiał się, a podskakiwał radośnie. Spoglądał na Brühla, który i wspaniałość Radziwiłłowską i zręczność pańską w extazie — admirał.

Popisywał się i nowo-kreowany książę kurlandzki, który małego mniej od ojca był zręcznym, bo w tej rodzinie nie znaleźć było jednego mężczyzny, nie mającego we krwi łowieckiej tej namiętności. Młody Brühl strzelał także doskonale, a i z polskich panów wielu dawało strzały do zadziwienia trafne, nie wrzody jednak, aż zwierzę pod królewskiego umknął strzałowi.

Naprzemiany, chorąży, zapytując króla, czego by sobie życzył, dawał Wolskiemu znaki, niedaleko altany stojącemu, ten trąbił według umówionego hasła, i zwierzę przychodziło na zawołanie, grubszy i mniejszy, bo oprócz łosie, niedźwiedzików, sarn, wilków i lisów mnóstwo było. Nie wyszło nic żywym zpod altany i dalej od ustawionych rzędem strzelców.

Na chwilę zaledwie spoczawszy i przyjmując kielich wina starego węgierskiego, który mu podawano, król usta ocierał i gorączkowo strzelbę znowu brał do rąk, uśmiechając się, pytając chorążego: — Jest jeszcze zwierzyzna?

Było jej tyle, że po pięciu godzinach nieustannego strzelania i ucierania się z nią, naostatek królowi ręce znużone opadły; chorąży zapewniał, choć pewno dla przechwałki, że jeszcze-by się do czego strzelać znalazło.

Łowy ze wszech miar się powiodły — król był uradowany, wesół — pił za zdrowie chorążego, hełmana i całej rodziny Radziwiłłowskiej. Brühl

prawił chorążemu komplimenta, tak przesadzone, tak pochlebne, że staremu aż się policzki blade zarumieniły.

Matusiewicz, usłużny, postarał się o to, aby i poezya była na tej uroczystości reprezentowaną. Rozrzucono drukowane wiersze polskie, niemieckie, francuzkie i włoskie, sławiące gospodarza i ukoronowanego gościa.

Dołem altany, gdzie kosze z winem stały, a miecznik książę Karol z Pacem gospodarowali, nikt nie wyszedł trzeźwo. Spojono wszystkich do nogi. Jeden młody Brühl uszedł, chroniąc się na wschodki.

Naostatek, jak wszystko na świecie, i to polowanie się skończyło, a chorąży, króla do wrót odprowadzwszy, gdy siadł do powozu, poczuł dopiero, że w głowie miał za dużo, a w nogach za mało. Szumiało górami, drętwiało dołem, znużenie było niewypowiedziane, lecz radość wszystko czyniła znośnem.

Przychodzili wieszować i dziękować z kolei, sławiąc księcia, że dokazał tego, czego tylko on jeden w świecie mógł dokonać.

Uśmiechał się chorąży.

— Prawda? he? — mrucał — prawda? pięknie było? *Ut sic!* po radziwiłłowsku, panie, po naszymu! Kiedy co robić, to tak, aby ludzie o czem gadać mieli.

Zareczano księciu, iż potomne wieki będą o tych łowach pisały, że je historia na kartach swych rylcem nieśmiertelnym wyrzeje.

Tryumfował też Wolski, któremu od króla piękny podarek wręczono, a chorąży go poklepał po ramieniu.

— Masz szczęście! — rzekł mu — spisałeś się! będą ci to pamięta!

Butrymowie, którzy przed porwaniem Zaborzkich, wszystko już z p. Gilles obmyśli i upewnili się, iż nie chybić nie może, nie widzieli potrzeby zaglądać do dworu na Pradze, aby na siebie okanie zwracać. Mieli też wiele do czynienia, sposobując się do drogi. Bohuszewicz postarał się, aby konie rozstawne były; Damazy mocnej a nietrzeszczącej bryczki dobiegał. Marcyjan w broń się zaoptażył. Pani Gilles choćby im była chciała dać znać, że wszystko nieprzewidzianym sposobem, spetzło na niczem, nie wiedziała gdzie szukać; rozpacziała niemal.

Wybrała się parę razy na miasto, rozpytywała, dowiadywała się, ale nikt jej o Butrymach ani o Bohuszewiczu uwiadomić nie umiał, gdzie ich szukać trzeba było.

Na galeryi mieli oznaczone miejsce, na którym Zaborskie i ona znajdować się miały, a na drodze wśród tłumu, czekać na nie urówili się spiskowcy. Zrozpaczona p. Gilles, rano się przybrawszy, udała się na miejsce, tak wcześnie, iż Butrymów jeszcze nie zastała.

Dopiero, zasiadłszy już na ławce, spostrzegła ich zajmujących stanowisko, na którym oczekiwać mieli. Poczęła tedy chustką dawać znaki; lecz, że się w tej stronie niczego nie spodziewali, zobaczyć ich nie mogli. W końcu, znużona, musiała zniżyć z galeryi i sama zbliżyć się do nich.

Zobaczywszy ją idącą, podbiegł Damazy, niemogąc pojąć, dlaczego Faustyny przy niej nie było. Z twarzy p. Gilles czytał, że się coś stać musiało, że jakaś zaszła przeszkoda, lecz nie sądził aby nie przełamaną być miała. Myślał, że kaprys jaki Zaborskiej szyki im pomieszał.

— Gdzież one są! gdzie! — zawołał, podbiegając niespokojny.

— Ja już trzeci dzień was szukam, gonię i dopytać nie mogę — zawołała p. Gilles; nie wiecie! Zdradził ktoś! Wolski przyleciał wieczorem i z rozkazu księcia wsadziwszy je na brykę, z kokami jak niewolnice do Białej wysłał.

Zbiegli się wszyscy słuchać wiadomości p. Gilles i patrząc po sobie — oniemieli. Damazy obie pięści podniósł w górę, jakby bić kogoś chciał.

Nie odzywał się nikt, Gilles lamentowała.

— Kiedyż się to stało?

— Trzy dni temu. Są już oddawna w Białej.

Miał tyle przytomności Marcyjan, że jejności za złą nowinę a dobre jej serce podziękował; Damazy kłął i rzucał się.

Bohuszewiczowi, choć serdeczną miał dla nich

sympatya, polowania jednak żal było — a Butry-
mom wcale się patrzeć nie chciało.

— Idźcie—rzekł im—radźcie, a ja się popatrzę,
znajdziemy się u mnie, gdy zechcecie, i postanowie-
cie co uczynić.

— To już postanowione—rzekł Damazy, uspo-
kowszy się nagle — nie wiem, co Marcyan z sobą
zrobi, lecz ja do Białej jadę.

— Ja też tam jadę, choćby po to, aby moje wę-
zelki zabrać ztamtąd, odezwał się podłowcy,
a wolę je teraz wziąć, dopóki chorąży z Wolskim
nie powrócą.

Damazy pochwycił za rękę Bohuszewicza.

— Bóg ci zapłać za dobre serce i za gotowość
do pomocy. W Białej my już sobie sami radzić
musiemy, a ciebie ciągnąć tam sumienia-bym nie
miał.

— Nim wy tu polowania dokończycie, bodaj nas
już w Warszawie nie będzie; ani ja, ani Marcyan
nie mamy co robić, a patrzeć na te komedye ich,
ochoty żadnej. Bywaj zdrów.

Uścisknęli się; Bohuszewicz, z głową zwieszoną,
miejsca poszedł szukać.

Obaj Butrymowie, ani się więcej oglądając, na-
tychmiast do bramy się zwrócili i, gdy inni się tu
wprasali i cisnęli, oni jedni może szli precz, nim
się huczki i trzebienie rozpoczęło.

Konie, które ich ku Krakowu wieźć miały,
zwrócono ich napowrót do miasta. Siedzieli w po-
czątku na bryce bracia obok siebie, słowa nie mó-
wiąc. Marcyanowi żal było tamtego, ale pocie-
szać nie umiał. Damazy też, choć mu się serce
scisnęło, już myślał co ma dalej poczynać.

Potrzeba było wracać do dawnych kryjówek,
na nowo oblegać zamek, podkładać się i sposobu
szukać, jakby Faustynkę wykraść. Ale w pomoc
przybywał Marcyan, na którego wiele mógł ra-
chować brat, bo ten miał przyjaciół i znajomych
we dworze, po lasach i między sługami Radziwił-
łowskiemi.

Godzili się na to od pierwszego słowa, iż z po-
wrotem do Białej, potrzeba było pośpieszać, aby
księcia i Wolskiego wyprzedzić. Marcyan chciał
tylko wkraść się do pałacu hetmana, aby od któ-
rego ze znajomych dostać języka, jak długo cho-
rąży jeszcze w Warszawie zabawić może. Lecz
dopóki trwało polowanie na polu pod Ujazdowem,
żywego ducha, oprócz służby, nie tylko w Radzi-
wiłłowski pałacu, ale po innych dworach, zna-
leźć nie było można. Musieli więc, do gospody za-
jechawszy, czekać, ażby łowy się skończyły. Ła-
two to było poznać, bo wszystka gawiedź, co się
potoczyła tłumami nad Wisłę, powracać zaczęła
nad wieczorem. Poszedł więc Marcyan pod pa-
łac krzątę, czy mu się kogo napotkać nie uda.

Naostatek, spostrzegł jednego z leśniczych, któ-
ry rękę miał okaleczoną, i prędzej od innych śpie-
szył, aby mu ją Dr Dubiski opatrzył. Wszysey
oni do podłowczego przywiązani byli i Butrym
nie obawiał się go zaczepić.

Powitał go smutnie ranny.

— Ot, jak mnie wilczyisko podrapało—rzekł—
obwinieją ukazując rękę.

— Nie słyszałeś jak długo chorąży bawić tu
myśli?

— Wolski mówił dziś, że niebawem do Białej
powracają — odparł leśniczy, a ludzie mówią, że
nasz pan z hetmanem całują się i sciskają, prze-
cież długo z sobą nie wytrwają. A że książę he-
tman ma tu jeszcze pozostać, my pewnie prędko
do domu powrócimy.

Tej tylko wiadomości potrzeba było Butrymowi
i dobre słowo dawszy rannemu, sam do gospody
pośpieszył. Na noc ciemną i chmurną nie potrze-
bowali się wybierać Butrymowie i zaczęli do
rana.

Mając konie młode i zdrowe, nie szczędząc ich,
jechali pośpieszając, a po drodze wypytywali się
o bryczkę, którą kozacy przeprowadzali; powia-
dano im, iż młodsza z kobiet jadących, chora i za-
płakana, litosę we wszystkich obudzała.

Damazemu pilno było dać jej o sobie znać, iż tu
jest i znowu starać się będzie, jak wprzódy, o u-
wolnienie jej z tego więzienia. Marcyan, który
w skrzydle pałacowem miał jeszcze swoje rzeczy,
których zabrania nikt mu wzbronąć nie mógł,
obiecował w tem usłużyć.

Damazy pokazywać się na miasteczku jawnie

nie mógł, a że o mroku przybyli, zajechał do Re-
formatów, gdzie pewnym był gościnnego, choć-by
na jedną noc, przyjęcia.

Marcyń, nie potrzebujący się tacić z sobą, za-
szedł do Chai, izbę sobie kazał dać, a nazajutrz
rano, najawszy furmana, pojechał do zamku rze-
czy swoje zabierać.

Wiedziano tu już o jego przygodzie; lecz, że du-
żo miał przyjaznych niż niechętnych, nikt mu za-
bierać nie bronił, co do niego należało.

Korzystając z pobytu na zamku, chciał się do
sługi Zaborskich dostać, aby przez nią Faustynie
oznajmić o bracie, alu tu znalazł taką straż i drzwi
na klucze pozamykane, że się dobić nie mógł.

Udał się więc na pożegnanie do Szurskiej, pe-
wien tego, iż ona Zaborską wspomni o nim, a mo-
że i Faustynie, której łatwo domyślić się będzie,
iż on bez brata nie przyjechał, a brat nie przybył
darmo.

Szurska milcząc go przyjęła i polajala nawet.
— Gagatek z acana—rzekła—nie mogłeś się to
z Wolskim pogodzić? Fumów w nosie nie trzeba
mieć, kto chce pański chleb jeść.

Napomknął Marcyń, że Zaborską pożegnać-by
chciał, ale widzieć się z nią nie mógł.

— O teraz ich pilnują—zamruczała Szurska—
a i temu wyscie winni! Młokosy, co to wam w gło-
wie? Mało na świecie kobiet!

Uśmiechnęła się wzgardliwie.

Z niezem tedy prawie z zamku się wyniósł do
Chai Marcyń.

U Reformatów Damazego wprowadzie na noc
przyjęto i konie w stajni pozwolono postawić, ale
ojciec Remigi, dowiedziawszy się o Butrymie, ka-
zał go do siebie zawołać.

— Cóż? acan tu znowu? Skóra ci świerzbi na
grzbiecie? he?

— Ojcie dobrodzieju!

— Synu najukochańszy—przerwał uśmiechając
się gwardyan — ja cię kocham bardzo, ale żeby
miał dla miłości twej klasztor narazić na niełaske
kollatora i benefaktora, nie może to być: przeno-
cuj cicho i wynoś się jutro.

Damazę się skłonił.

Gwardyan dobył lampki z szafki i nalał mu ją.
— Porzuciłbyś te bałamuctwa—rzekł.—Widzę,
że jeszcze się ich nie wyrzekł. Z księciem cho-
rążym nie wygrasz, to darmo; muru głową nie
przebijesz.

A gdy Damazy nie odpowiadał nic, gwardyan
weselej spytał:

— Cóż tam w Warszawie? Łowy się udały?

— Nie wiem, ojcze gwardyianie, nad to, że
brat mój z racyi Wolskiego służbę puścić musiał.

— Już tu o tem gadano. Chorąży zdrów?

Ruszył ramionami Damazy.

— Nie wiecie, kiedy powraca?

— Mówią, że rychło.

Parę dobrych rad udzieliwszy jeszcze Damaze-
mu, rozstał się z nim gwardyana Butrym konie
odprawiwszy na dawną stajnię, pojechał do bra-
ta do Chai. Nie bardzo się jakoś lękał teraz Sę-
pika i jego gawiedzi i póki Wolskiego nie było,
a tu mu oznajmiono, iż wcale obawiać się go nie
potrzebował, bo Sępik, choć chromając, dobraw-
szy sobie ludzi, skorzystał z tego, iż nań nie bar-
dzo patrzano i do lasu drapnął: Ci co go lepiej
znali, powiadali, że skarb swój odkopawszy, na
Węgry z nim ruszył.

Reszta ludzi, którymi się posługiwał, Łoboda i
wszyscy jego towarzysze, wcale Damazemu stra-
szni nie byli. Daleko więcej go to obchodziło,
gdy się dowiedział od brata, że około Zaborskich
dozór był tak pilny, że on, na zamku będąc, docis-
nąć się do nich nie mógł.

Nie tracąc czasu, natychmiast Butrym poszedł
pod okna Faustyny, aby się jej chociaż pokazać.
Znalazł okiennice wprowadzie poodmykane, ale
stojąc tu z godzinę, napróżno czekał, aby się mu
ukazała. Znając jej okno, ośmielił się parę razy
rzucić grudkę śniegu ku szybom, lecz i tem uwagi
na siebie nie zwrócił.

Do mroku prawie tu przebywszy, musiał wreszcie
odejść, bo straż pod zamkiem wartę zaciągała.
Nazajutrz Niedziela była, miał więc nadzieję Bu-
trym u Fary zobaczyć Faustynę, gdyż zawsze na
wotywie bywały. Wiedział, w której siadały ław-

ce i podniosłszy kołnierz, aby Zaborska go nie ła-
two poznała, zajął niedaleko stanowisko.

Jakoż przyszła na wotywie umalowana i strojna
jejmosić, ale bez córki. Co to znaczyć miało, nie
wiedział był Damazy, lecz stojąc blisko, usłyszał
jak Szurska, także przybywająca na mszę, zapy-
tała Zaborską:

— A z córką coście to zrobili, że jej niema?

— Chore biedactwo!—odparła matka, wzdycha-
jąc. W podróży tak nas pędzili po złych drogach,
a bryka trzęsła, że mi się rozchorowała, i nie mo-
że do siebie przyjść, w łóżku leży.

— Nic jej nie będzie—szepnęła Szurska.

Z początku Damazy chciał korzystać z tego od-
dalenia się matki i wkraść się do zamku, aby Fau-
stynkę zobaczyć, ale zadzwoniono, Msza Święta
wyszła i pobożny chłopiec, nie śmiał jej opuścić,
mając to za grzech. Modlił się też gorąco, aby
aby mu Bóg dopomógł.

Tą chorobą dziewczęcia zasmucony, tegoż dnia
Damazy udał się do swojego przyjaciela leśnicze-
go, u którego się ukrywał, niedaleko od miasta
wśród puszczy, aby tam sobie znowu zapewnić
prywatność, dopóki-by nie obmyślił wieczki, do któ-
rej Marcyń pomagać mu obiecywał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z PRAGI CZESKIEJ.

Czechy dawne i dzisiejsze. — Literatura. — Świętosław Czech. —
Wrchlicki. — Neruda, Zeyer; ich najnowsze utwory. — Ruch mu-
zyczny. — Smetana. — Uroczystość. — Setne przedstawienie opery.
P. Derynżanka. — Wieczorek Zaleskiego. — Adama Pluga *Sroc-
ka*. — Nasi poeci w czeskiej krytyce. — Witeśław Halek i jego
uroczystość. — Pomnik.

Od kilkudziesięciu lat dokonywa się prawdziwe
odrodzenie Czech. Historia, język i litera-
tura niepospolicie się rozwinęły i świetne wy-
dały rezultaty, a dziś z każdym dniem rośnie,
a raczej wznosi się znów, ich potęga, jak nie-
gdyś w złotym okresie kultury czeskiej. Litera-
tura, zarówno naukowa jak i pięknotwórcza, roz-
winęła się niesłychanie szybko i bajnie w ciągu
lat czterdziestu, a każdy rok nowy świadczy wy-
mownie o tym rozwoju. I teraz mam przed sobą
liczne książki reprezentujące działalność poetycz-
ną Czechów, i tak: 1) Świętosława Czecha *Nova
sbirka versowanych prací* (Nowe zebranie rymowa-
nych prac); 2) Jana Neurudy *Pisnie kosmické* (Pie-
śni o świecie (Kosmos); 3) Jaroslawa Wrchlic-
kiego *Pouti k' Eldordu* (Drogi do kraju marzeń i 4)
Juliusza Zeyera, epicką poezją *Wyszehrad*. U Cze-
cha, w jego zbiorze poezyi, znajdujemy cztery poe-
mata wykończone: *Europa*, *Czerkies*, *W stínu Lipy*
i *Žyzska*; *Zimna noc*, *Handžar* i elegia *Na hrob Ha-
vasuwa* są bardziej subiektywnymi urywkami.
Cztery pierwsze odznaczają się niepospolitą
siłą poetyczną i są tworzone niesłychanie zrę-
cznie. Rzecz wysnuwa się jasno i dokładnie,
a autor, przesuując obrazy z niepospolitą wpra-
wą, umie je stopniować. Jak cała zewnętrzna
forma, tak też i poetyczne zwroty są zupełnie ory-
ginalne, a co więcej jest ich wiele, złączonych
z piękną myślą:

O kiedyż, człowiecze, dostąpisz ty miru?

Kiedyż ty zwiesz swe skrzydła w spokoju?

Kiedyż się wyrwiesz z tego świata wiru,

Byś mógł wypocząć po boju?

Poeta karci naturę ludzką, przenika wzro-
kiem przestrzenie niebieskie, lub znów biegnie
w cieniście gaje, aby tam słuchać śpiewu ptasząt,
podziwiać zieloność drzew, szum liści, lub też błąka
się po cmentarzach, zawieszając nad grabiami świe-
że laurowe wieńce. Poeta tworzy różne, nie zbli-
żające się ani treścią, ani myślą, ani nawet formą
wiersze i poemata z niepospolitym talentem.
W poemacie swem *Europa* przedstawia grono wy-
gnańców, znajdujących się na pokładzie okrętu,
„Europa“ opuszczającego brzegi ich ojczyzny.

Przeprowadzenie myśli twórczej tak jest dobre, że mimowoli trzeba czuć i cierpieć z tymi autora skazańcami.

Obrazek *Czerkies* odznacza się bardziej sielankową treścią. Sceny w tym poemacie pełne są uroku i wdzięku, malowniczości i prostoty.

Jarosław Wróhlicki wystąpił z nowym tomikiem swoich pełnych wdzięku poezji. Zdaje się nie potrzebuję tu mówić, że Wróhlicki jest jednym z najpotężniejszych talentów, jakimi kiedykolwiek w lirycznym kierunku mogli się poszczycić Czesi. Wróhlicki jest w pełni męskiego wieku i nie wiem jak się jeszcze rozwinąć może. Pieśni jego żyją... to co chce z ulotnej piosenki wydobyć, wydobędzie. Uczucie żalu, boleści lub płacz — wszystko to zostaje na usługach bujnej fantazy i głębokiego uczucia poety. Nie podobna mi tu rozbiierać po kolei tych ulotnych wierszyków; wyszczególnię tylko znaczniejsze, uderzające silniej wyobraźnią. Do rzędu tych możemy zaliczyć *Eros* i *Pan*. Jeżeli w pierwszym utworze odbija się całe niebo wraz z olimpijskimi pieśniami, to w drugim możemy przedź znaleźć obraz idealnego życia, przez fantazyją ludową Grecji wymarzonego, życia Dryad. Obrazy zalecają się świeżością, a każde drzewko, każdy krzaczek, każdy kłosek, a nawet małe listki, zdaje się być żywym. Nie można z tego wybierać, które są lepsze, a które gorsze lub mniej udatne, bo u Wróhlickiego, jak u prawdziwego poety, wszystko żyje i wszystko jest pięknem; zaznaczą jednak jeszcze parę tych pieśni jak: *Lampa*, *Prowieczność*, *W Letnicich Duchu* etc., *Epilog*. — *Pieśni Kosmickie* Jana Neurudy mają charakter odmienny. Są to poczęści pieśni tworzone na wzór starej czeskiej literatury. Pan Neuruda jestto człowiek stary, przyjaciel zmarłego Halka, pełen talentu, w którym znać dużo artyzmu i pracy. *Kosmické písnie* uchodzą za najlepszy utwór tego niezmiernie starca; wiele w nich jest ducha i siły, a wszystkie tak ujmujące, jakgdyby zlało się tam to tylko co dotąd w epicznej poezji istniało, czy ów realizm biblii starego i nowego testamentu, czy owa fantazyja indyjskich pieśni Ramajana i Mahabharata, czy wreszcie owa plastyczność Homera lub ruchliwość Mickiewicza... *Kosmické písnie* ze wszech miar zasługują na uwagę, a najlepszym tego dowodem powinno być to, że nieprzyjaźni nawet Czechom Niemcy podnieśli wysoko ten utwór, i z niesłychanie sumienną i pochlebną wystąpili krytyką. Podobała im się żywość słowa, połot myśli, która z niesłychaną prostotą układając się w wiersze, wywiera rzadki urok.

Czwarta książeczka, obejmuje *Wyszehrad* p. Juliusza Zayera. Podobnie jak poprzednie pieśni, i *Wyszehrad* nosi na sobie szatę epiczną, z tą tylko różnicą, że brak we wszystkich pięciu obrazach porządku; ale oprócz tego jednego zarzutu, innych nie podobna tu uczynić. Twórczość i fantazyja są niepospolitymi czynnikami. Poeta ze starych podań odtwarza piękną historyczną powieść z czasów może najpiękniejszych czeskiego narodu. Rzeczywiście *Wyszehrad* można zaliczyć do rzędu tych utworów, które budzą śpiące uczucia i porywają czytelnika.

Wogólności musimy zaznaczyć, że wykonanie charakterów jest świetne. Pięknie zarysowują się nam: Libusza, Chrudosz, Trut, Zdirad, Wlasto i wiele innych. Z innych jeszcze postaci, bardzo sympatycznie są odmalowane dwie siostry Libuszy, pełne wdzięku i urody, bające bardzo wiele podobieństwa z „Lillą“ i „Różą Wenedą“ Słowackiego. P. Juliusz Zayer jest nie tylko poetą, ale także artystą, który może swemi pieśniami ująć widza, a świetne barwy obrazów i dzielne charaktery, świadczą nam najlepiej o jego zdolnościach. Możemy więc tylko przyklasnąć p. Zayerowi i życzyć, aby muza nigdy go nie odstąpiła.

Równocześnie z poezją zaczęła się tu rozwijać i muzyka, a dziś Czesi mogą się poszczycić takimi imionami, jak: Fabich, Dworzak i Bedrzych Smetana. Szczególniej ten ostatni jest tu bardzo popularnym. Któżby tu nie słyszał i nie czcił imienia tego znakomitego meza? I do nas doszły głosy z Czech, że d. 5 Maja obchodzono tu uroczystość setnego przedstawienia opery *Predana niewesta* (Sprzedana niewiasta). Otóż twórcą jej jest p. Smetana. Urodził się on w Litomyśli 1824 r.

i wychowany w domu swojego ojca, który już szóstym roku „ciągnął za ucho do fortepianu uparte go chłopca“. Oddany potem do szkół chłopczyzna, tak pilnie i z takim zapałem przywiązał się do fortepianu, że lekcy w szkole, do której go posyłał zaniedbywał zupełnie. Darmo ów słynny Jungman, dyrektor gimnazjum w Pradze, zachęcał chłopca do nauki. Widząc to, ojciec oddał go pod nadzór swego brata, profesora gimnazjum w Pilźnie, aby ten mógł więcej wpłynąć na chłopca; lecz i to się na nic nie zdało. Młody Bedrzych przebył tam lat trzy, to jest od 1840 do 1843 roku i ztamtąd wydalili się do Pragi, mając zaledwie 20 zł. reń. w kieszeni. Tu zapisał się do prywatnego zakładu muzycznego, którym rządził Józef Proksch i przepędził tu rok jeden w niedostatku i nędzy. Wkrótce jednak rozgłos dobrego muzyka, zapobiegł temu, i Bedrzych Smetana dostał się jako nauczyciel na dwór hr. Thuna, gdzie dostał lekcy muzyki. Od tej chwili rozrywano go na wszystkie strony po domach szlacheckich, gdzie nauczając, świetnie był wynagradzany; tu właśnie Smetana poznał młodą i przystojną Katarzynę Kollarównę, wykształconą i muzykalną pannienkę, zakochał się w niej i postanowił ją zaślubić. Musiał więc wytworzyć sobie byt niezależny, i dlatego, porzucił lekcy i otworzył w Pradze dom muzyczny, gdzie rozpoczął naukę publiczną na fortepianie, a zarazem oddał się kompozycji. Najpierwsze swoje *Morceaux caracteristiques* ofiarował Lisztowi, którego jeszcze wówczas nie znał. Liszt przyjął z uznaniem utwór młodego artysty i zjednał mu wówczas nakładkę, Kistnera w Lipsku.

Były to czasy rozpoczynającego się dopiero rozwoju narodowego. Nie wszyscy wówczas rozumieli, co to jest śpiewać dla swoich: Smetana opuścił Pragę i udał się na prowincyę, gdzie przyjął miejsce dyrektora orkiestry. Tymczasem światło w Czechach nastąpiło; obudzono się ze snu. Wtedy i Smetana, pełen sławy, powrócił do Pragi i rozpoczął szereg swych kompozycji operą *Branibrzy w Czechach*, ukończoną w 1863 roku, która w trzy lata potem, po raz pierwszy światło kinkietów narodowej sceny ujrzała. Potem nastąpił szereg innych oper, jak: *Dalbor*, *Dwie wdowy*, *Hubiczka*, *Tajemnica* i *Libusza*. Większego powodzenia od wszystkich poprzednich doznała *Sprzedana niewiasta*, wystawiona po raz pierwszy w 1866 roku; przez lat szesnaście dano ją już sto razy. Setne przedstawienie tej opery pociągnęło za sobą owacy, którą uczczono nieśmiertelnego kompozytora. Podczas tej uroczystości w teatrze, obsypano mistrza wieńcami i bukietami, a po skończonej sztuce wszystkie towarzystwa i korporacje składały mu swoje życzenia. Między innymi podarunkami otrzymał on trzy srebrne wieńce: od Towarzystwa dramatycznego, od Czytelni akademickiej i od Konserwatorium muzycznego. Po teatrze uczczono uroczystie przyjacielską ucztą, niezmiernie kompozytora, który po dziś dzień nie przestaje być czynnym. Wykończył on nową operę *Czartowa stena*, z librettem pani Elizy Krasnohorskiej, i złożył ją już dyrekcji teatrów, która w krótkim czasie wystawi ją na scenie. Smetana jest twórcą niepospolitym; pełnym zapału i siły, a chociaż w podeszłym już wieku, nie przestaje pracować.

Kiedy piszę o uroczystościach i teatrze, muszę nadmienić, że występowała tu z niesłychanym powodzeniem panna Marya Derynzanka. Na gościnne występy wybrała *Romea i Julia*, *Hamleta*, *Adryannę Lecoureur*, którą musiała powtarzać dwa razy. Artystkę przyjęto sympatycznie, obsypano kwiatami i wieńcami. Kiedy *Slavia*, towarzystwo akademickie, dawała dnia 8-go bieżącego miesiąca wieczorek na cześć Bohdana Zaleskiego, panna Derynzanka przyjęła w nim czynny udział, deklamując „Hagar na puszczy“ i „Dzwon“, utworu U. Szczególniej dziękowała publiczność czeska pannie Derynzance za krótki, ale piękny i tkliwy wierszyk Halka „Z Bohem“ (z Bogiem) wygłoszony poczesku. Uroczystość Zaleskiego wypadła świetnie. Najlepsze siły artystyczne przyjęły w niej udział, a pan Pudlacz wygłosił parę słów o twórczości śpiewaka.

Wypada mi jeszcze słów parę powiedzieć o naszym piśmiennictwie w Czechach, a mianowicie: *Oświeta* dwutygodnik naukowy w ostatnim nume-

rze zamieszcza krytyczny przegląd dzisiejszych poetów polskich, na których czele stoi A. Asnyk.

Za nim następuje pan Chamiec i pani Marya Konopnicka, wreszcie Czesław Jankowski. Krytyk pierwsze miejsce naznacza Asnykowi, ostrzej obchodzi się z panią Maryą Konopnicką, rozbiierając jej *fragmenta*. Chwali Chamca, zamieszkałego w Paryżu, który najmniej może ze wszystkich znanych jest w Warszawie. Czesławowi poświęca słów parę.

Z przekładów polskich wysła tu świeżo *Srocza*, zaściankowy obrazek Adama Pługa; dotąd jeszcze nie ukazał się w handlu księgarskim, ale zapewne w tych dniach będzie do nabycia. Mam przed sobą egzemplarz. Jest to bardzo ozdobne wydanie, — text drukowany w dwóch łamach. Przekładu dokonał p. Jan Hudec, i można powiedzieć, że bardzo pięknym przełożył językiem. Książkę tę zdobią ilustracje Gersona. Co się tyk wierności przekładu, o tem jeszcze powiedzieć nie mogę, bom go z oryginałem nie porównywałem.

Na zakończenie, i tak może już przekraczając zwykłe swoje granice korespondencji, zaznaczę, że w tych dniach odbyło się tu uroczyste odsłonięcie pomnika, dla czeskiego poety Witesława Halka, który zmarł d. 8 Października 1874 r., licząc zaledwie lat 39. Halek pozostawił po sobie kilka tomów poezji lirycznych i poematów, z których na uwagę zasługują *Goar*, obrazek osnuty na tle życia tatrzańskiego i *Czarny sztandar*. Dramatom Halka brak sceniczności i dramatycznej siły; są to utwory większej wartości pod względem lirycznym, poetycznym. Szczęśliwszym i udatniejszym jest dramat, a raczej tragedia z całego szeregu *Zawisza z Falkenszteinu*, który otrzymał drugą nagrodę na konkursie dramatycznym. Z ulotnych wierszy Halka; najznakomitsze są trzy tomy *W przyrodzie*, gdzie zwięzła forma i jasna myśl najlepiej świadczą o talencie tego poety. Nie mogę dłużej zatrzymywać się nad oceną poetyczną działalności Halka; przejdę więc wprost do samego pomnika. Jest on nie bogaty i nie wielki, raczej skromny lecz gustowny, wystawiono go z ciosowca. Na głównej kolumnie napis: „Umelecka beseda Viteslavu Halkovi, venuje 1882 r.“, umieszczony jest tak, że „Viteslavu Halkovi“ znajduje się na froncie, kiedy inne napisy po bokach kolumny.

Odsłonięto pomnik w Niedzielę dnia 14 b. m. Na uroczystość podażyły wszystkie korporacje i cechy, oraz młodzież akademicka. Przemówił do zebranych pan Franciszek Dworski, a prezes Koła literackiego, Dr Jan Strakaty, prezes „Umeleckej besedy“, zdał pomnik przydentowi miasta, panu Emilianowi Skamlikowi.

Wszystkie mowy były bardzo dobre; mówiono z werwą i zapałem, a naród przerywał je częstymi okrzykami „Vyborne“.

Przed uroczystem odsłonięciem towarzystwo „Hlohol“ odśpiewało kaatagę na cześć Halka. O godzinie 11-ej skończył się obrzęd odsłonięcia. Tłumy ludu rozeszły się, śpiewając hymn narodowy. Pomnik obrzucono wieńcami laurowymi. Byłoby dobrze, aby i publiczność nasza poznała tego poetę, który tworzył pieśni serdecznie narodowe.

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Bismark w *Osach*. — Monopol. — Kulturkampf. — Kardynał Ledóchowski. — Kampania 1870 r. — Bossueta poezye. — W. Hugo na obiedzie. — Torquemada. — Uwieńczenie Łuku Gwiazdy w Paryżu. — Wystawa paryzka. — St. Chlebowski. — *Studia nad pierwotną historią sztuki chrześcijańskiej* Müntza; nowe spostrzeżenia jego. — „Dziawica Orleańska“ J. Quicherat. — Kronika 1431 roku. — Kardynał Martinuzzi w Częstochowie. — Ralph Waldo Emerson i jego pisma. — *Representative men*. — Powierzchowność zmarłego. — Wystawa obrazów w Dreźnie. — P. F. Zakrzowski. Capri. — Oklepanki.

Ostatni numer *Os* berlińskich przedstawia księcia kanclerza, który monopol tytuniowy przynosi

fabrykantowi konserw do przechowania — na później. Chociaż *Osy* nie odznaczają się dowcipem, na ten raz przynajmniej dowiodły znajomości charakteru i położenia. Co się odwlecze, to nie uciecze — można zawsze powiedzieć, gdy sprawa jest z tym żelaznym panem, który choruje, gdy potrzeba, podaje się do dymisji, cofa, milczy, ale — nie ustępuje. Opinia publiczna tak przeważnie była przeciw monopolowi, z pobudek, które najmniejszego związku z istotą jego nie mają, że, projekt poszedł do zakonserwowania, a że powróci na stół jednego pięknego poranku — nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Prawie wszystkie czynności parlamentarne nie wypadły na korzyść głównego ich promotora, ks. Bismarcka: nie dziw więc, że izby się pozamykają i chory pan do Kissingen pojedzie. Układy z Rzymem mające być na — dobrej stopie — idą powoli. Dzienniki dobrze informowane utrzymują nawet, że usunięci z stolic swych biskupi mogą powrócić do nich. Odnosi się to szczególnie do kardynała Ledóchowskiego, o którego przywróceniu bardzo powątpiewano. Z obu stron tyle trzeba będzie zapomnieć z przeszłości, iż mimo zapewnień prasy o możliwości powrotu tego powątpiewamy.

Ciekawy artykuł przynosi ostatni numer *Nowego przeglądu* (Nouvelle Revue) pani Adam. Jest to obrona wojska francuzkiego w kampanii 1870 r., a razem wykazanie błędów popełnionych przez zwycięzców, którym szczęście nadzwyczajne służyło. Rzecz ta niewątpliwie wywoła polemikę gwałtowną i dotknie boleśnie historyków sztabu głównego. Spodziewać się należy namiętnej i szorstkiej odpowiedzi.

Nie jesteśmy kompetentnymi, aby wyrzec coś o tym sporze, a w każdym razie należy czekać nieuniknionej odpowiedzi ze strony Niemców, którzy, jeżeli w czem, to w tem najdrażliwszą — i nie zniosą chłodno uczynionych im zarzutów.

Tażsama Nouvelle Revue, która na sensacyjne artykuły poluje bardzo cheiwie, umieściła niedawno parafrazę Kantyku Salomona przez Bossuet'a, jako rzecz nieznaną i niewydaną. Uwierzyliśmy jej na słowo, bośmy się z tą poezją nie spotkali dotąd nigdzie. Nam, to rzecz przebaczona, ale nie całej prawie prasie francuzkiej, która, jak się dziś okazuje, nie wiedziała, iż w wydaniu pełnym dzieł Bossuet'a, kanyk był drukowanym i przeszedł niepostrzeżony.

Może skutkiem tego, zawodu czy omyłki, *Przegląd* zapowiedzianych, pięciu czy szesściu niewydanych bajek Lafontaine'a, znalezionych w Londynie jakoby — nie wydrukował dotąd. Ignorowanie rzeczy znanych wszędzie, tak samo, jak u nas, się trafia, lecz nie wiem, czy tak często, jak w naszej literaturze. Mnogie moglibyśmy przytoczyć dowody, rzeczy za nowe głoszonych, które tylko, ubite milczeniem, zestarzały.

Wiktor Hugo, o którym głoszone, że uległ lekkiemu porażeniu, znajdował się w tych dniach na obiedzie wydanym dla udekorowanego urzędnika żelaznych kolei, — więc zdrów jest, dzięki Bogu. W tych dniach ma wyjść jego dramat *Torquemada*. I o tem piszą nam ciągle, jako o dziecięciu jego starości, chociaż rzecz leżała od kilkudziesięciu lat gotowa, aż czas na nią przyszedł narzeczcie.

Pozazdrościwszy Berlińczykom quadrigi na brandeburskich wrotach tryumfalnych, Paryżanie uwieńczyć chcą Łuk de l'Etoile brązową Wiktorją, której rumaki wieść będą cztery geniusze.

Może to zdola zatrzeć pamięć, że łukiem tym wchodzili Prusacy w 1870 roku, aby móż się pochwalić iż — byli w Paryżu.

Wspomnijmy też, będąc niedaleko, o otwarciu wystawy tegorocznej — dwa tysiące pięćset obrazów — o której zdania są bardzo podzielone. To pewna, że nic nadzwyczaj uderzającego nie ukazało się na niej, że ogromne maszyny zajmują wiele miejsca, że historia, obrazy treści religijnej i portrety nawet, tym razem są w mniejszości, a krajobraz i rodzajowe kompozycje prym wiodą. Wystawa ta przywiodła nam na pamięć niedokończony, olbrzymi obraz tego nieodżałowanego St. Chlebowskiego, który tak niezmordowanie pracował nad sobą, tyle już dał, tak wiele obie-

cywał — a dziś! dotknięty chorobą, jest dla nas może straconym.

Znalśmy go niegdys dorastającym już chłopakiem, w Odessie, potem nad Bosforem, ulubieńcem sultana, długie lata posługującym jego fantazjom artystycznym; a teraz, w chwili, gdy się wyzwolił z tej niewoli, nieubłagana ręka tego losu tak ciężko spadła na niego. Obraz jego „Wzięcie Konstantynopola przez Turków“ miał być na tę wystawę skończonym.

Pracowano tak wiele, tak długo i tak wszechstronnie nad pierwocinami sztuki chrześcijańskiej, zabytkami ich w katakumbach i ikonografią tej epoki, iż zdawać się mogło, że przedmiot został wyczerpany, a nowym badaczom przypadło tylko powtarzać i porządkować, co stwierdzonem jest i zdobytem.

Jednakże, nie wielkich rozmiarów, lecz pełna nowych i trafnych poglądów, książeczka *Studia nad historią malarstwa i ikonografią chrześcijańską*, p. E. Müntz (Etudes sur l'histoire de la Peinture et l'iconographie chretiennes. Paris. G. Fischbacher, in 8-vo, 58 pp.), dowodzą, że wiele było do sprostowania i do wyjaśnienia jeszcze. Jest to uzupełniony przedruk artykułu pierwotnie помещonego w Lichtenbergera *Encyklopedii umiejętności religijnych*, wychodzącej w Paryżu. Pan E. Müntz rozwinął tylko swą rozprawę i wydał ją osobno. Doskonała znajomość i przedmiotu samego i jego literatury, sąd niezależny, trzeźwy, motywowany faktami — czynią tę pracę nadzwyczaj ważną i zajmującą.

Szczególniej pierwsze wieki sztuki chrześcijańskiej zyskają na tych studiach. Może po raz pierwszy dowiadujemy się tu, że w owej epoce kościół nie był tak nieprzyjaznym artystom i sztuce pogańskiej nawet, jak dotąd utrzymywano. Świadczyły o tem już zapomniane słowa św. Pawła do Koryntian: „unusquisque in qua vocatione vocatus fuerit, in ea permaneat“ (w jakim kto powołaniu został wezwany, w takim niech pozostaje). Na dowód, że artyści poganie wyrabiali też rzeczy godnymi chrześcijańskimi oznaczone, lub odwrotnie, służy świeżo odkryta lampa z tym samym podpisem *Anniser*, który znany jest na podobnej lampie z Dobrym Pasterzem.

Dowodzi także Müntz, iż w pierwszej ikonografii oznaczonych ściśle form i zbytniej nad nią pieczy, a nadzoru, nie było. Sztuce zostawiono zupełną prawie swobodę. W tłumaczeniu przedstawień i symbolów, daleko później zrodzona exegesa św. Augustyna, Hieronima i Ambrożego za skazówkę służyć nie może. Pierwotne wieki z wielką prostotą myśli swe obrazują. Napróżno silono się tłumaczyć wiele motywów czysto ornamentacyjnych, które religijnego, mistycznego znaczenia nie mają. Porównanie tych dekoracji ze społecznymi pogańskimi, najdobitniej tego dowodzi.

Nowa epoka sztuki chrześcijańskiej otwiera się dopiero z Edyktem Medyolańskim, z wyswobodzeniem. Wszystko potrzeba stworzyć, typy jeszcze nie są stale wyrobione, liczbą ich mała; dla świata, na wyklebki do świetnych dzieł pogańskiej sztuki, mało co dać może sztuka nowa, wykluwająca się zaledwie i niemogąca obronić od pewnych reminiscencyj przeszłości.

Pierwszym wiekiem ulubione temata, niektóre, niktą następnie zupełnie, i trwają tylko na sarkofagach i na drzwiach św. Sabiny w Rzymie. Do tych zaniedbanych należą: Adam i Ewa, Arka Noego, Ofiara Abrahama, Dawid z procą, Porwanie Eliasza, Zuzanna, Daniel między lwami, Młodziankowie w piecu gorejącym, Jonasz, Job, i t. d. Nawet modlące się postaci już po VI wieku się nie natrafiają. Sobór w Konstantynopolu 692 r., z obawy, aby historia nie przeszła w symbol i nie straciła swej rzeczywistości, rozporządza, aby malowania przedstawiały wypadki tak, jak one naturalnie dziać się mogły. Ukrzyżowanie mianowicie poleca malować, nie symbolicznie, ale realistycznie. Ciekawym jest wykaz wpływu, jaki tłumaczenie pisma św. przez św. Hieronima wywarło na sztuce, już-to sceny ze starożytności czyniąc popularniejszymi, już odmiennie je malować nakazując. Dawny przekład italski naprzykład, oznaczał krzew pod którym schronił się Jonasz jako „latorośl dyni“ (Puerbita). U św. Hieronima w miejscu jej znajduje się

bluszcz (hedera). Do oznaczenia epoki starych malowań służyć więc dynia lub bluszcz jako pewne skazówki. Tylko w obrazach wschodniego pochodzenia pozostaje dynia, bo tu przekład św. Hieronima nie był przyjęty. (Miniatura Menologu św. Bazylego z IX wieku). Godne są uwagi sceny zapożyczone z apokryfów, później znikają.

Sztuka pierwotna chrześcijańska, w IV wieku zaczynająca się rozwijać świetnie, dochodzi do najwyższego blasku w V wieku, a napad Gotów w VI wieku dalsze jej udoskonalenie się hamuje.

Wszystko, co mówi autor o rozwijaniu się sztuki chrześcijańskiej, o zmianach, jakie zaszły w utworach jej, o wprowadzonych typach indywidualnych w miejsce postaci bez charakteru wybitnego, opiera się na bardzo starannem rozpatrzeniu w źródłach i pomnikach. W późniejszych czasach wprowadzone do sztuki żywioły miejscowe, wizerunki szczególnie świętych krajowych, patronów, oddziaływały realistycznie. Müntz przywodzi za przykład w bazylice Fausta w Medyolanie (V wiek) wizerunki, portrety św. Ambrożego, Protazego, Gerwazego, Nabora, wszystkich Medyolańczyków. U św. Pryski w Kapui (V — VI wiek) na szesnastu figur w mozaice jest dwanaście świętych pochodzenia z Kampanii i t. p. W VI wieku już, oprócz fresków i mozaik, obrazy na drzewie, przenośne są znane i wspominane. Św. Grzegorz W. posyła jednemu z przyjaciół wizerunki Chrystusa, N. Panny, św. Piotra i Pawła. W VII w. opat Wiremouth nabywa w Rzymie obrazy Chrystusa, Izaaka niosącego drzewo na stos, i inne wspomniane u Bedy. W atrium bazyliki Watykańskiej już przekupnie sprzedają „volti santi“.

Od IV do IX wieku sztuka nie ulega wielkim zmianom, ani w wyborze przedmiotu ani w ich wykonaniu. Na ten czas tylko przypada, Chrystus zwycięzca, który się w katakumbach prawie nie spotyka. Nie możemy iść krok w krok za p. Müntzem, ale zajmującym się historją sztuki chrześcijańskiej polecamy go, jako rzecz rzucającą światło nowe i opracowaną bardzo sumiennie. Ustęp o wpływie reformy religijnej na sztukę jest też ciekawy, gdyż potwierdza fakt, znany zresztą, jak bezpłodną ona była na tem polu. Ze wszelkich sztuk na posługę kościoła Luter jedną tylko muzykę wyszczególnia i podnosi, innym nie jest wprawdzie zasadniczo przeciwny, lecz ważności języka, przemawiającego do tych, co innego nie rozumieją — nie zdaje się uznawać.

Z powodu rocznicy i obchodów we Francji na część Orleańskiej Dziewicy, nie od rzeczy będzie wspomnieć może, iż niektóre nowe świadectwa, odnoszące się do tego zjawiska dziejowego, świeżo ogłoszone zostały. Winniśmy je p. Julianowi Quicherat, niedawno, bo d. 8 Kwietnia, zmarłemu po krótkiej chorobie w Paryżu. Był to pracowity i zasłużony badacz, który pozostawił po sobie piękne wspomnienie.

Rozpatrując się w tych nowych źródłach, ogłoszonych przez niego, nie znajdujemy w nich wprawdzie nic zupełnie nieznanego, ale potwierdzenie przez współczesnych lub blizkich tego czasu kronikarzy i akta urzędowe faktów znanych, ma wartość wielką, gdy idzie o tak nadzwyczajną i cudowną postać, jaką jest Dziewica Orleańska.

P. Quicherat poraz pierwszy wydrukował ustępy z kroniki znajdującej się w rękopismie w Bibliotece Narodowej w Paryżu (23,018 — zbiór francuzki), a doprowadzonej do 1431 r., kronika była znaną, ale nieużytkowaną dotąd.

„Zdarzyło się pod ten czas, pisze kronikarz, iż przybyła i stawiła się przed Delfinem młoda dziewczyna, urodzona w Lotaryngii, córka ubogiego wieśniaka, która się nazywała Zanetą dziewczeczką, i pasła przedtem owce we wsi, z której była rodem. Ta dziewczeczka w słowach i zachowaniu się wielce prostą a niewinną, a mimo to dawała poznać, że z natchnienia bożego miała Delfinowi przywrócić jego królestwo Francji i nakazać mu posłuszeństwo u wszystkich. I tak-to objawiła swojemu ojcu i przyjaciółom, że przez brata wraz z innymi, którzy się do niej przyłączyli, została przyprowadzona przed Delfina, a tu tyle wyjednła mową swą, że Delfin ją przy dworze swoim zatrzymał i bardzo wspaniale opatrzył; czemu się

ludzie mocno dziwowali, bo wielu ich miało tę Zanetę za szaloną i obłąkaną“.

Sława Dziewicy rozchodzić się poczyna od oblężenia Orleanu. Gdziekolwiek się ona ukazuje, miasta się poddają bez wystrzału; ale dowódcy, rycerstwo, zaćmione przez nią, szemrze i mruczy.

„Przedostatniego dnia Maja, kończy kronikarz, Zaneta dziewczeczka została zżegnietą w Rouen, przyznawszy się do swych błędów (?) Gdy zobaczyła, że ją chcą przebrać w suknie niewieście, wróciła się do straży swej i odezwała, że chce tak umierać, jak żyła. I skazaną została na zżegnięcie. A popiół ciała jej workami rzucono w rzekę, ażeby nigdy czary i złość jaka nie mogła się niemi posłużyć“.

Zarzucono jej — czary i był w istocie czar w tem posłannictwie i życiu biednej dziewczyny, która taką siłę czuła w sobie, i z takim mężstwem walczyła w obronie kraju.

Na innych historycznych odmłodzeniach starych kwestyj nie zbywa. W dziejach Węgier i Austrii sławny mnich Jerzy, kardynał Martinuzzi, Dalmata, który tak ważną a tak smutnie zakończoną odegrał rolę w połowie XVI w., jest także przedmiotem nowych studyów i rozpraw, potępiających go i broniących. Podnieśmy z nich tylko ciekawy szczegół, że Martinuzzi jakiś czas był przeorem Paulinów w Częstochowie. Było to około 1520 roku.

Po Longfellowie Ameryka traci drugiego męża wielkiej wagi, powagi i znaczenia w jej życiu duchowym: Emersona. W Europie znanym on był tylko z dzieł swych, niezbyt rozpowszechnionych, ale przyjętych z tem poszanowaniem, na jakie zasługiwali.

Ralph Waldo Emerson, potomek rodziny starej emigrantów, urodził się w Bostonie w r. 1803; długie życie jego, z wyjątkiem lat podróży po Europie (około 1848 r.), całe prawie było poświęcone odczytom, przemawianiom, kazaniom, żywemu słowu, którem do mas przemawiał, starając się je podnosić i uszlachetniać. Wierzył on w postęp i rozwój ludzkości w kierunku udoskonalającym.

Porównywano go czasem do Carlyle'a, z powodu wagi jaką wybitnym przewodźcom ducha przyznawał w dziejach. Ale jego *Representative men*, o wiele się różnią od bohaterów-wodzów Carlyle'a, z ich misją mistyczną pojętą. Emerson pojmując tych ludzi przedstawicieli swojego czasu i narodu wcale inaczej, daleko skromniej i realistyczniej. „Pisarz-literat, powiada w jednej z mów swoich (1837 r.), jest to człowiek, którego żywioły składowe istnieją w stanie rozproszonym we wszystkich członkach społeczeństwa, którego on jest dzieckiem; a najlepszym sposobem zrozumienia go jest badanie właśnie całej tej społeczności, od której on pochodzi. Pisarz jest tylko duchowym deputatem swojego narodu“. Emerson nie był wcale literatem w książkach i papierach zagrzebanym, ale ciągle czerpiącym z życia i biorącym udział w niem czynny. Książka do zapisywania tego, co widział i słyszał, nie opuszczała go nigdy, chodził z nią i jeździł ciągle, notował wszystko. Począwszy od *The literary Ethics* (Moralność w literaturze), wydał z kolei „Metodę natury“, odczyty i rozprawy, poezye, „Duch i obyczaje XIX wieku“, „Ludzi reprezentantów“, „Pamiętniki margrabiny d'Ossoli“, „English Tracts“, „Kierunek życia“, „Dzień Majowy“ i wiele innych drobniejszych traktatów i odczytów.

Pozostałe po nim rękopisma przeszły w skutek zapisu testamentowego do rąk p. Eliot Cabot, który ma je wydać i obiecuje obszerną, wyczerpującą biografią. Tymczasowo posłużyć może do poznania się bliższego z pisarzem i człowiekiem świeżo wydrukowana w Londynie, przez G. W. Cooke (Londyn — Sampson Low).

Postać Emersona, jak nam ją opisują, doskonale się godziła z charakterem jego i znamionami rodu, od którego pochodził. Słusznego wzrostu, ramion spuścistych, szyi przedłużonej, rysów pociągłych, miał w sobie — powiada biograf — coś Don Kwichotowskiego, ale uszlachetnionego polem ku ideałom.

Pozawczoraj otwarto tu w Dreźnie doroczną wystawę dzieł sztuki, która liczy trochę mniej obrazów, niż w roku przeszłym, a nie ustępuje jej

wielką ilością miernych i mniej niż miernych płócien. Imiona znakomitych artystów niemieckich, zapewne z powodu współczesnej wystawy wiedeńskiej — błyszczą nieobecnością.

Z artystów tutejszych zupełnie nam nieznanymi, pan Feodor Zakrzowski zamieszkały w Berlinie, jest jedynym. Wystawił on widok z Capri, tę Marina grande, którą nieodzownie wszyscy krajobrazowi malarze przywożą ztamtąd. Znamy ją we wszystkich możliwych oświetleniach, porach dnia i z najrozmaitszych punktów widzenia. Tem to dziwniejsza, że w Capri jest ona może najmniej malowniczym widokiem, a wyspa obfituje w nieskończenie piękniejsze temata. Ale tu, jak w wielu innych miejscach, do oklepanego lgną ludzie; każdy się sili na Grote Lazurową i — spoczywa potem, malując Marina grande lub piccola. Najpiękniejsza dolina, najwspanialsze skały z drugiej strony wyspy — pozostają nietknięte.

Krajobrazy i parę portretów dobrych: oto wszystko, czem się wystawa może pochlubić. Jest bardzo uboga, ale dla pokrycia tej biedy nader starannie przybrana i, jak jeszcze nigdy, — wylegantowana.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Kwietniu 1882 r.

Wczesna wiosna. — Przechadzki lwowskie. — Szkoła leśnicza. — *Ferye alpejskie*, Lucyana Tatomira. — *Obowiązki kobiety w zakresie gospodarstwa domowego*, przez Julię Selingerową. — Skazanie języka w Galicyi. — Napisy sklepowe; kontrola nad niemi zwierzchności miejskiej. — Czynności sekcji językowej *Koła literackiego*. — Projekt zawiązania Towarzystwa bratniej pomocy literatów. — Zamierzone wydawnictwa *Koła literackiego*: *Książka zbiorowa i Rocznik literacki*. — Instalacja księdza Soleckiego na katedrę biskupią w Przemyślu. — Wystawa przemysła rolniczego przemysłowa. — Prawdziwe Szwajcarki we Lwowie. — Salon Sztuk Pięknych Łukaszewicza.

Wiosna wcześniej niż zazwyczaj zbudziła nas w tym roku ze snu zimowego. Chociaż to dopiero połowa Kwietnia, miasto zaczyna już przybierać fizioznomią wiosenną, używać cieplejszych promieni słońca. Około skwerów miejskich wszędzie zaczęto już pracować. Drzewa i trawniki okrywają się zielonością, a ogródki przedmiejskie, ulubione miejsca przechadzki, urządzają się copperszej na przyjęcie gości. W ogrodzie „Pod bratnią zgodą“ rozpoczęto już nawet koncerty *majowe* pod gołym niebem, chociaż Maj jeszcze nie nadszedł. A i teatr zaczyna już potrosze myśleć o przenosinach na letnią rezydencją na Majerowskiej ulicy, gdzie już tym celem rozpoczęto także roboty przygotowawcze. Ostatniej niedzieli przy dniu pogodnym, aleje na *Wysokim Zamku* roily się takimi tłumami publiczności, że prawie przecisnąć się było niepodobna. Zdawało się jakby pół Lwowa tam się znalazło na *rendez-vous*, bezwiednie sobie danem. Wszystkiem w świecie rządzi kaprys mody. Sądząc z tej pierwszej niedzieli wiosennej zdaje się, że spacer na *Wysokim Zamku*, zaniebany od niejakiego czasu, w tym roku odzyszcze swe prawa i będzie *w modzie*. Tym razem będzie to przynajmniej kaprys mody zupełnie usprawiedliwiony, bo *Wysoki Zamek* ma tyle powabów pod względem piękności widoków i świeżego powietrza tak wiele, że żadna z tutejszych przechadzek i ogrodów równać się z nim nie może.

Szkoła leśnicza przenosi się także na nową siedzibę. Dotychczas była pomieszczoną bardzo niewygodnie w ciasnym zakątku, nie mając dostatecznego miejsca ani na zbiory szkolne pomnażające się z dniem każdym i tworzące już dzisiaj piękne muzeum leśno botaniczne, ani nawet ogrodu dosyć obszernego, bez którego obejść się nie podobna. Na początek to wystarczało, dopóki szkoła była w zawiązku i ograniczała się tylko na wykładzie niektórych przedmiotów; ale dziś, gdy organizacja została przeprowadzoną i należyćie uzupełnioną, a szkoła początkowo staraniem Towarzystwa Gospodarskiego w życie wprowadzona przez sejm, na fundusz krajowy prze-

szła, rzecz naturalna, że należało najpierw umieścić ją odpowiednio celowi i wymaganiom nauki. Zakupił więc Wydział Krajowy obszerną i w pięknym miejscu położoną posiadłość na Stryjskiem Przedmieściu, z rozległym ogrodem: tu właśnie szkoła będzie przeniesiona. Stanęło tu już zabudowanie o dwóch okazałych skrzydłach, z werandą i obszernymi salami wykładowymi. Ogród leśniczo botaniczny, którego założeniem zajmuje się profesor botaniki p. Tyniecki, będzie posiadał wszystkie gatunki drzew i krzewów, znoszących klimat europejski, a w osobnych działkach będą rośliny leśne, pasze i nasiona. Rzecz naturalna, że wykonanie tego planu wymaga dłuższego lat przeciągu, ale roboty ogrodnicze, już rozpoczęte, idą w wyobrażeniu, czem ogród szkoły naszej lasowej, pielęgnowany w tym kierunku, czasem będzie

Zdarzyło się, że, powracając z ogrodu szkoły lasowej, dokąd mię pierwszy pogodny dzień wiosenny zwał, zastałem w domu na biurku książkę, która zaledwo przed kilku dniami na świat wyjrzała zpod pras tutejszych: *Ferye alpejskie, wspomnienia miejsc i ludzi przez Lucyana Tatomira*. Ciekawie pochwywszy do ręki, przeczesałem z zajęciem karty tego „dziennika podróży“, pisanego pod świeżem wrażeniem, dodającem opisom wdzięku i oryginalnego miejscowego kolorytu. Oglądając wraz z autorem wspaniałe krajobrazy gór tyrolskich, i przypatrując się całemu szeregowi rzuconych na tem tle drobnych flamandzkich obrazków, charakteryzujących ludność tamtejszą i stosunki w ogóle, obrazków nasuwających się jakby przypadkowo, mimochodem, a tworzących razem żywą fotografią kraju i jego mieszkańców, zdaje nam się jakbyśmy istotnie oddychali pełną pierśią owem alpejskiem powietrzem, zapomniawszy na chwilę domowej troski i używali przyjemności widoków wspaniałej natury, otoczeni nowym światem i społeczeństwem, na łonie tego świata, jak kwiat polny samorodnie wypielegnowanem. Kontrast pomiędzy tym światem przyrody, zachowującym swe cechy oryginalne typowe, a światem cywilizowanym kosmopolitycznym, co tutaj z rozmaitych stron przybywa, pędzony ciekawością, aby zajrzeć w oczy tej wspaniałej przyrodzie i samorodnemu jej społeczeństwu, kontrast ten nastęrcza podróżnikowi wiele ciekawego materiału do uwagi i treści opisowej, zwłaszcza gdy się opis wzbogaci jeszcze przywiązaniem do miejsc znaczniejszych wspomnieniami i umiejętnie światłem dziejowem z zachowaniem należytej perspektywy objaśni. Wszystkie te zalety posiada książka p. Tatomira. Zazwyczaj dwa główne szkopyły mają do zwalczania autorowie opisów podróży: albo wybierają się w drogę owinięci jakby płaszczem podróżnym togą uczoności i ledwie nie z biretem akademickim, miast czapki na głowie, i przeciążają swój opis takim balastem rzeczy uczonych, że książka ich traci wszelki powab i świeżość życia, niepoczytna dla ogółu, z drugiej strony bywa znów za pobieżną, zamało głęboką dla uczonych, nieprzynoszącą pożytku umiejętności w ogóle; albo też chcą być zajmującymi fotografami życia, nie umieją w rozliku podróżnych wrażeń wybrać rysów i zdarzeń istotnie charakterystycznych i gubią się w opisie scen drobiazgowych, lub widoków i rzeczy zkądnad znanych, kompilowanych i powtarzanych, tak, że opis staje się nudnym i nie mając właściwego kolorytu, nie będąc wyrazem życia, dopatrzonemu bystrem okiem spostrzegawczem, traci wszelką wartość. Tatomir umie zachować pod tym względem należytą miarę. Nie pomija on wspomnień historycznych lub tradycy przywiązanych do miejsc, które zwiedza, ale głównie chodzi mu o żywą charakterystykę rzeczy i ludzi, o wierne oddanie fizioznomii kraju i jego mieszkańców. Pierwszym etapem tej podróży jest Salzburg, w którym się autor dłużej zatrzymuje, zwiedza jego osobliwości, przypomina dziejowe pamiątki, przysłuchuje się czarownej *grze dzwonów* tutejszych, sławnej na cały świat, a znanej każdemu posiadającemu ucho muzykalne i *Baedekera* w podróżnej torbie; ale unika jak ognia archiwów i wszystkiego, co tchnie uczonością i bibliotecznym pyłem, bo ferye alpejskie mają właśnie posłużyć na to, aby odświeżyć płuca i umysł świeżem powietrzem górskim i świeżością czer-

panych tam wrażeń. Po Salzburgu, który, mówiąc nawiasem, niewielkie zrobił wrażenie na autorze, przejeżdża p. T. przez Kufstein, ową fortecę, której wspomnienie niegdyś grozą przejmowało, a która dzisiaj słynie w Austrii swym wzorowo urządzonego ogródkiem Freblowskim, dokąd z pedagogicznych seminariów żeńskich całej Przedlitawii wysyłają zdolniejsze kandydatki nauczycielskie na kurs freblowski dla poznajomienia się teoretycznie i praktycznie z tym systematem nauki początkowej. Ostatnim kresem podróży jest Brixlegg, czyli *Brislik*, a malownicze tutejsze okolice, równie jak cała przestrzeń przebytej drogi, nasuwają autorowi prawdziwe bogactwo opisowej treści. Podobnych zdarzeń podróży i uwag, tworzących razem jakby zajmującą powieść, z żywych wrażeń osnutą.

Aż wracamy do domu, gdzie na nas tyle spraw ważnych czeka. Ażeby używać feryj z całym zadowoleniem i swobodą ducha, potrzeba wprzód urządzić się, jak należy, u siebie. Do tego celu prowadzi równocześnie z *Feryjami* Tatomira wydana książka p. Julii Selingerowej, dyrektorki szkoły wydziałowej żeńskiej w Tarnopolu: *Obowiązki kobiety w zakresie gospodarstwa domowego*. Literatury zagraniczne, mianowicie niemiecka, posiadają wiele tego rodzaju podręczników, encyklopedycznie ułożonych, zawierających praktyczne wskazówki w tym lub owym zakresie czynności ludzkich i w ogóle życia społecznego. U nas książka p. Selingerowej jest tem pożądaną, że nie posiadamy takich dotychczas, i że obejmując gospodarstwo kobiece, będące podstawą ładu i zamożności domowej, jest poradnikiem nader potrzebnym w życiu powszednim każdej gospodyni. Autorka, wykładając w szkole, której jest przewodniczką, gospodarstwo kobiece przez dłuższy lat przeciąg, korzystała oprócz własnego doświadczenia, głównie z podręczników w tym przedmiocie w innych językach napisanych. Z zapisków ztamtań zaczerpniętych, służących jej za materiał do kursu szkolnej nauki gospodarstwa kobiecego, złożyła się książka niniejsza, zastosowana do potrzeb gospodarstwa naszego. Rada szkolna krajowa zatwierdziła dzieło p. Selingerowej i przyjęła je w poczet książek szkolnych. Układ jego jest bardzo staranny; autorka nie pominęła niczego, cokolwiek do zakresu gospodarstwa domowego kobiecego należy. Zaczawszy od urządzenia domu i obchodzenia się ze służbą i z domownikami, podaje wskazówki o zaopatrywaniu kuchni i spiżarni we wszelkie potrzeby i wiktuały, dalej wskazuje pokrótce sposoby pielęgnowania ogrodu warzywnego i kwiatowego, umieszcza *apteczkę domową* złożoną z ziół i leków najpotrzebniejszych do powszedniego użytku, kończy prawidłami higieny i dyetetyki domowej ze szczególniejszym względem na wychowanie dzieci. Jedno tylko mielibyśmy do zarzucenia p. Selingerowej, to jest nie dosyć czysty od obcych zwrotów język, którym się autorka wyraża. Już to potrzeba jako okoliczność łagodzącą przyznać na jej usprawiedliwienie, że Galicya posiada, niestety, jakby smutny przywilej każenia języka, od którego mało który z pisarzy tutejszych zupełnie otrząść się zdoła. Winniśmy dołożyć czujności, aby nie dawać się pociągać w ten wir błędów rażących ucho, aby stać nieprzerwanie z całą surowością na straży czystości języka, biorąc wzory nie z dziennikarskich fejtetonów lub pobieżnych pamfletów, ale z dzieł dobrych pisarzy. Czujność ta potrzebna zwłaszcza w książce przeznaczonej do użytku szkolnego i dla młodzieży, do której błąd łatwo przylega i trudniej potem sprostować się daje.

Nie podobna sobie wyobrazić jak dalece zakorzeniło się u nas skażenie języka, nietylko w publicystyce, po książkach i w mowie codziennej, mianowicie nawykami z niemieckiego żywcem przyjętymi, ale co niemniej zle w swych skutkach, także w napisach sklepowych i w ich ortografii. Książkę czytając ludzie, posiadający już pewien stopień wykształcenia, są zatem zdolni mniejwięcej błąd poznać, poprawić, ale napis nad sklepowymi drzwiami czyta każdy, wpada on w oczy, początkowo razi, ale z wolna oswajamy się z nim, i sami nim przesiąkamy. Tym sposobem nieznacznie zwyrodnienie języka szerzy się pomiędzy szerokimi warstwami ludności, pomiędzy całym społeczeństwem

miejskiem, i zatracą swojski skład i tok wyobrażeń. Szerzycielami tego rodzaju, a raczej sposobu, każenia języka są głównie malarze godeł i napisów sklepowych, należący do najniższych warstw społeczeństwa, oddający się swemu rzemiosłu za wynagrodzeniem jaknajlepsze i doświadczeni swych malarskich i gramatycznych talentów po sklepikach, szynkach i składach przedmiejskich, a niemający by najmniejszego pojęcia o gramatyce lub ortografii. Oni-to po największej części są samowolnymi autorami tych napisów. Przeszedłszy się po Lwowie, a to nietylko po dalszych przedmieściach, ale nawet po główniejszych ulicach, spotyka się potworne pod względem gramatyki i ortografii koncepta u wchodu niejednego ucześcianego sklepu, a cóż dopiero po mniejszych handelekach i rzemieślniczych warstatach. Napisy te rażą i oburzają, ale często rozśmieszają swą dziwotliwością. Pomijanie już takie, których krytykować niepodobna, jak np. *Pod plinącym rybiem*, lub *Pod skakającym wywerkiem*, co ma znaczyć, jak świadczy malatura nad napisem, pod *wiewiórką*. Napisów podobnych znalazłaby się dosyć pokaźna liczba w dzielnicy mianowicie Żółkiewskiej i w zaułkach Zarwanicy. Te jeszcze nie tyle szkodzą, bo każdy może się rozśmiejść, ale naśladować ich w potocznej mowie nie będzie. Szkodliwsze stokrój są takie co nie rażąc uderzającą śmiesznością zwolna do błędu przyzwyczajają oko i ucho. Od lat dziesięciu przesładuje mię, ilekroć przechodzę ulicą Skarbkowską wspaniałą ogromnymi głoskami napis *Malarz dla szylków*. Przyznaję, iż mię to tak drażni nerwowo, że przestałem tamtędy chodzić i omijam zdaleka ulicę Skarbkowską. Nie lepsze są i *Pracownie powozów* lub innych rozmaitych przedmiotów, objawiające się coraz częściej, tak jakby wzrost przemysłu nie mógł iść w parze z poprawnością języka i ścisłością wyrażenia. Ale mniej dziwiwim się zresztą rzemieślnikowi lub przemysłowcowi, że popełnia błąd w rzeczy, nad którą się nigdy nie zastanawiał, niemającej styczności z jego rękodzielniczym zawodem. Cóż powiedzieć jeżeli właściciel księgarni, będący członkiem *Koła literackiego* i przedsiębiorcy wydawnictwa najznakomitszych dzieł naszych wielkich poetów, umieszcza nad swą księgarnią napis: *Księgarnia dla literatury zagranicznej*. Pojmuję księgarnię dla publiczności, dla literatów, dla kogokolwiek z kupujących i czytających, ale księgarnia dla literatury, to już lwowskie *specifum*. Nieszczęsne to dla wciśka się coraz bardziej i zakaża składnie naszą swojską, rugując drugi przypadek z należącego mu miejsca.

Co do napisów sklepowych, popularyzujących, że tak powiem błędy, winna-by je zwierzchność miejska poddać pod osobną pod względem językowym kontrolę. Warto-by, iżby Rada Miejska zamianowała osobną z łona swego komisją, której rzeczą byłoby przestrzegać czystości języka w napisach publicznych, której to komisji każdy napis, przed zamieszczeniem go nad sklepem, musiałby być do zatwierdzenia przedstawionym. Kiedy uczyniłem ten wniosek w gronie poufnym, odpowiedziano mi, że byłoby to ograniczeniem wolności osobistej właścicieli sklepów. Mnie się zdaje, że byłoby to tylko ograniczeniem wolności szerzenia błędów i niemilosiernego oszpecania języka, co przecieć ograniczyć słuszną byłoby rzeczą. Wszakże jeżeli zwierzchność miejska ma wszelkie prawo przestrzegania przyzwoitości obyczajowej i nikt jej tego prawa nie zaprzecza: dla czegożby nie miała mieć równego prawa przestrzegania przyzwoitości gramatycznej; tem bardziej, że nikt umyślnie błędnie nie popełnia i nie upiera się przy nim, lecz dzieje się to li tylko z niewiadomości, a każdy właściciel napisu byłby sam wdzięczny komisji za sprostowanie napisu. Mogłaby tu wiele pożytecznego uczynić sekcya językowa *Koła literackiego*, chociaż nie posiada władzy wykonawczej, wszelako przez wytykanie błędów, podawanie rad i uwag, może wiele dobrego wywrzeć wpływu. Co do czynności sekcji w ogóle, potraciwszy ten przedmiot, dodać muszę, że jak na początek zajęła się ona gorliwie swem zadaniem. Członkowie zebrali pomiędzy siebie rozmaite, znanej wartości dzieła, i czynią wypisy wyrazów i zwrotów cudzoziemskich, wciśkających się ze szkodą języka wbrew jego duchowi; dalej wyrażen i zwrotów

czysto swojskich, które również ze szkodą języka coraz bardziej znikają, zastępowane koszlawami cudzoziemskimi; naostatek tych wyrażen i zwrotów nowo-wprowadzonych, które odpowiadają duchowi języka, których wprowadzenie jest zatem wzbogaceniem i postępowym rozwojem tegoż. Z wypisów tych ma się czasem ułożyć rozumowany *Słownik języka polskiego*: zadanie rozległe i praca z natury rzeczy długiego wymagająca czasu, ale cel bardzo pożyteczny, i sekcya nie mała się zasłuży, jeżeli kiedyś dokona zamiaru, spoczywającego dzisiaj jeszcze w samym zarodzie.

(Dokończenie nastąpi)

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Warszawskie przełożone prywatnych zakładów naukowych dla dziewcząt, pragnąc uczcić pamięć Pauliny Krakowowej, złożyły w tym celu sumę na wydawnictwo jej imienia, mające przynieść pożytek uczącej się młodzieży żeńskiej. Fundusz ten, mogący się ciągle odnawiać w razie okoliczności przychylnych, użyty zostaje na dwie publikacje: 1) Wypisy polskie, których ułożenie wzięli na siebie zaproszeni do tego pedagogowie; 2) otwarty został konkurs na dziełko „mające służyć dla dziewcząt dorastających, zatem na epokę silniejszego wyrobienia się w nich uczucia i samostnego sądu“. Dziełko to ma dopomóc obserwacji (czytelniczek), przedstawieniem odpowiedniego obrazu dziewczęcia i wzoru dojrzałej kobiety, na tle stosunków społecznych, potrzeb chwili bieżącej i wymagań zdrowo pojmowanego postępu.

„Dziełko ma mieć formę powieści, pamiętnika lub listów — w takiej bowiem formie najłatwiej przedstawić praktyczne zasad etycznych zastosowanie do życia; okazać dodatnie i ujemne jego strony; wypowiedzieć pragnienia, nadzieje, zawody, walkę człowieka z okolicznościami i z samym sobą. Forma to najponętniejszą dla młodzieży; za jej pomocą najłatwiej wzruszyć, rozgrzać, zatem za pośrednictwem uczucia obudzić szlachetne dążności i postanowienia. Formami temi posługiwało się przeważnie pióro s. p. Krakowowej: niech więc będzie to niejako jej głosem z za grobu.

„Programmat żądanego dziełka z natury rzeczy nie może być szczegółowym, zaznaczyć w niem tylko należy w ogólnych rysach podstawy, na jakich pomysł główny ma się opierać. Idzie o przedstawienie dziewczęcia i wogóle kobiety na polu właściwego jej działania w rodzinie, lub poza jej obrębem. Osoby wchodzące do dziełka, winny należeć przeważnie do średniej klasy społeczeństwa, będącego najlepszym przedstawicielem narodowego bytu, do którego należy głównie ta młodzież żeńska, dziełko proponowane czytać mająca.

„Charaktery i uzdolnienia naturalne mają być różnorodne, o wybitniejszych cechach, spotykanych w młodzieży żeńskiej, a zapowiadających różne kierunki duchowego rozwoju kobiety. Osoby te nie mają być od razu doskonałymi, bo takie nie istnieją w rzeczywistości; mogą owszem mieć wady i ujemności, bądź wrodzone, bądź z wychowania, bądź ze szkodliwych wpływów wynikające; ale, idąc przez życie, nie wyjątkowe, lecz powszednie, znajdując się w okolicznościach i warunkach nie nadzwyczajnych, lecz najpowszedniej spotykanych — winny się uczyć, jak pojmować obowiązki swoje względem Boga, kraju, bliźszego i dalszego otoczenia; jak pielęgnować cześć dla ideału i domowego życia, rozumieć znaczenie cichej a wytrwałej pracy i nauczać się spełniać cnoty, których świat słusznym się od kobiety domaga.

„Autor czy autorka nie będą obowiązani wyczerpywać wszystkich szczegółów, określonego wyżej programmatu, dość, gdy szerzej rozwiną te z nich, które za najodpowiedniejsze dla swego pomysłu uznają, i gdy dziełko ich duchem innych przeniknięte będzie.

„Dziełko nie ma przenosić objętości jednego to-

mu, średniej szesnastki. Autor czy autorka uznano za najlepsze dzieła otrzyma 300 rs. (trzysta) w zamian za rękopism, odstąpiony na własność wydawnictwa. Rękopisma oznaczone w sposób dowolny, wraz z zamkniętymi kopertami, zawierającymi wewnątrz toż samo oznaczenie, oraz nazwisko i adres autora, należy nadsyłać najpóźniej do dnia 19 Czerwca włącznie (data imienin s. p. Krakowowej) 1883 r. pod adresem Jadwigi Sikorskiej, przy ulicy Marszałkowskiej Nr 79.

Wydawnictwo ku uczeniu s. p. Pauliny Krakowowej przedstawia się bardzo sympatycznie, nie tylko już z tego względu, że jest „uczuciem” zasługi, nie tylko, że w razie powodzenia może wzbogacić ubogą u nas literaturę dla młodego wieku, ale wśród wielu smutnych okoliczności sprawia wrażenie pocieszające, bo wspólne to działanie ochmistrzyń, kształcących młode pokolenie kobiet naszych dowodzi, że ożywia je wszystkie myśl troskliwa o moralny rozwój tej młodzi już poza szkołą, już tam gdzie wśród czynnego życia stać się mają członkami społeczeństwa, obywatelkami. Należy też uważać *Wydawnictwo* za najlepszy pomnik s. p. Krakowowej wzniesiony, niemniej przy czytaniu programu konkursowego, następcza się mimowoli kilka uwag, nie bez znaczenia dla rozwoju wydawnictwa. Czy nie jest to ścieśnieniem pewnym, że „osoby wchodzące, powinny należeć przeważnie do średniej klasy społeczeństwa?” Niewątpliwie czytelniczkami książki konkursowej będą głównie dziewczęta z tej warstwy społecznej, czy przeciw jest to koniecznością, aby ze względu na to książka czerpała obrazy swoje z tej sfery jedynie? Czy dlatego, aby „wzruszyć, rozgrzać, za pośrednictwem uczucia obudzić szlachetne pragnienia i postanowienia”, potrzeba bezpośredniego odbicia tych stosunków, tych położeń, w których znajduje się osoba czytająca? Czy nie działa tu raczej ideał moralny dobra, piękno etyczne tych cnót, tych zasad, tych celów, ku którym pragniemy porwać młode serca, skierować młode umysły? Stosowanie tego w życie, przyjdzie już samo przez się, przez naturalny rzeczy wynik. Miłości dobra, pojęcia obowiązku nie uczy się jak lekcyi zadanej na pamięć, nie daje się na to schematów gotowych, w któreby tylko daty i nazwiska wpisać było trzeba. Gdyby naprzykład udało się komuś stającemu do konkursu skreślić piękną, wzruszającą, podnoszącą duchowo obraz, któryby przedstawiał szlachetną, poświęconą, przy idei rodziny, obowiązku silnie stojącą dziewicę ludu, toby już palmy konkursowej nie dostał? Nie dostałby jej również ktoś, któryby takiej postaci wśród starego, hetmańskiego rodu poszukiwał? Czyby im odpisano w motywach usprawiedliwiających odrzucenie rękopismu, iż to nie jest dość pożytecznie działającym, dość pouczającym, ponieważ te cnoty, to poświęcenie, te szlachetne porwy ducha, zwyciężkie walki z życiem, były ubrane w sukienki inne niż te, które noszą czytelniczki, nie przedstawiały im takich pokoiów, w jakich one mieszkają, takich stolików przy jakich one pijają herbatę? I to też jest ścieśnieniem wielkim, ścieśnieniem ważnym bardzo, że musi tu być przedstawionem „życie nie wyjątkowe lecz powszednie”, jego „warunki i okoliczności nie nadzwyczajne, lecz najpowszechniej spotykane” i to zapewne z tej przyczyny, aby młode czytelniczki spotykały się z najpodobniejszym, oile można, odtworzeniem otoczenia swojego i brały z książki gotowe już przykłady—postępowania naukę. Czy jednak moralność daje się tak uczyć poniekąd mechanicznie? Czy wpływ czytania tak ograniczać można i należy? Wprawdzie dzisiejsza metoda nauki każde zaczynać od najbliższego i posuwać się stopniowo dalej; że tu przeciw nie są to powiastki dla dzieci, że to ma być rzecz dla dziewcząt dorastających „pomagająca obserwacji”: więc ogrodzenie zbyt ciasne, mogłoby się stać zacieśnienie.

Pióro piszącego może wyprowadzić z powszedniego życia rzeczy bardzo piękne, bardzo zajmujące, w zastosowaniu do nauki moralności wielce pożyteczne, ale przeciwko tematowi innego rodzaju warować się, czy jest dobrze? A piękna powieść historyczna, którą przewiewał silny prąd niezwykłego życia, w którejby była szlachetna, wielkoduszna chłopka, czy to nie nauka „za pośrednictwem uczucia”. Czyby to nie było „głosem z za grobu s. p. Krakowowej”, której najpiękniejsze i na zawsze w literaturze pozostające rzeczy nie są właśnie z życia powszedniego?

Słowo to jest życzliwe, pochodzące z najprzychylniejszego usposobienia dla wydawnictwa, któremu życzymy wspomnianych w programacie konkursowym „okoliczności szczęśliwych”, przy którym-by się odnawiało z roku na rok.

Mającą powstać w Warszawie szkoła drzeworytnictwa, w której-by i kobiety uczyć się mogły, obudziła obawy, czy wyuczone znajdą następnie zarobek i czy nie stanie się to bolesnym zawodem dla tej, która pracować na chleb musi, gdy pracy nie znajdzie? Prawdą jest, że obecnie bardzo mała, maluczka liczba kobiet mogła w mieście naszym na pracy drzeworytniczej oprzeć utrzymanie swoje: trudno przecież wyrokować, co tu przyczyną było? Czy brak uzdolnienia, czy szczelne zajęcie przez mężczyzn? Jest to przeciw praca w dziedzinie sztuki wkraczająca: musi tu zatem być ten pierwszym, kto jest lepszym, a sam rodzaj zajęcia ze wszech miar odpowiednim jest dla kobiety, której poza dom nie wyciąga, od rodziny nie odrywa, i z tego względu należałoby sobie szczególnież życzyć, aby drzeworytnictwo stało się gałęzią pracy kobiecej.

W Rzymie otwarta została doroczna wystawa pracy kobiecej w Galerii Pascucci, na Via Nazionale. Jest już drugą z kolei i zaznacza wielki postęp tak w okazach wystawionych, jak w zainteresowaniu się publiczności. Twórczynią tej instytucji i stałą jej promotorką jest znana czytelnikom naszego pisma, dzielna i szlachetna Angielka, miss Mayor, przełożona rzymskiej *Szkoły Sztuk Pięknych dla kobiet*. Jakkolwiek w Galerii Pascucci wszelkie okazy pracy kobiecej wystawiane być mogą i są, niemniej sztuka ma tu miejsce pierwsze i na nią pada nacisk główny. Między wystawczyniami zaznacza się kilka malarek Angielek, kilka Francuzek i Niemek, Szwedka jedna, Zofia Ritting; Polki niema żadnej. Z Włosek wystąpiła tylko jedna Ginevra Papi, jako kopistka starych miniatur, i jedna malarka na porcelanie, Ludwika Marchetti, przedstawiła bardzo piękną kolekcję „Ceramica artistica”. Ilustracje miniaturowe kopiowane ze starych msza-

łów i innych pergaminów, oraz naśladowanie ich, wystąpiły bardzo świetnie w postaci pięknych albumów; jedno takie album, oprawne na sposób włoski w biały pergamin, pracę Angielki, Mrs Morgan, kupił ex-Kediw Egiptu, który nabył kilka innych dzieł pędzla niewieściego. Z rzeźbą wystąpiła jedna tylko wystawczyni, Angielka, Mrs Freeman, przedstawiająca płaskorzeźbę w terrakocie. Z pracami igłą wystąpiły głównie Włoszki i wystawiły bardzo piękne hafty kolorowe i białe. Wystawiły Włoszki również piękne koronki w starożytnym guście: Weneckie, Burano i inne, zawsze jednak włoskiej szkoły. Okazy te przez naśladowanie starych wzorów i gust szlachetny, okazały się bardzo cennymi. Królowa Małgorzata nabyła wiele przedmiotów z tej części wystawy. Pani ta usiłuje wszelkimi sposobami popierać naukę i pracę kobiet swego narodu.

Do parlamentu angielskiego wniesionym został przez bardzo sympatycznych członków, bo z Justynem Mac Carthym na czele, bill broniący kobietę i dziecko przed przemocą brutalnej siły męskiej. Bill został przyjętym i obecnie jest to już prawem w Anglii (właściwej) że każdy mężczyzna dorosły, który-by bił srogo kobietę lub dziecko, ma być stawiony przed sąd pokoju, i po dowiedzeniu mu winy, ma zostać skazany na karę stania pod pręgierzem lub w podobnie hańbiący sposób na publicznym placu swej parafii, nie dłużej przecież nad cztery godziny. Nad głową winowajcy ma być umieszczony napis literami dwucalowymi, opiewający przestępstwo, naprzykład: „bił kobietę”, „bił żonę”. Kara ta ma być wymierzona za pierwsze przewinienie tego rodzaju; za drugim razem winny ulega karze batoga lub ochłostania różgami. Każdy piętnastoletni chłopiec, któryby bił srogo dziecko, nie mające jeszcze lat dwunastu, ulega mniej więcej podobnej karze. Głównie prawo to wymierzone jest przeciw mężom bijącym nieludzką żonę i bill będzie też nosić w zbiorze praw angielski tytuł: „Wife Beaters Act, 1882 an.”. Nie rozciąga się on do Szkocji ani Irlandji, gdzie według wywodu wnoszących bill, nie zachodzi tego potrzeba, gdyż ludność pochodzenia galickiego tak sroga i nieludzka nie jest. Dlatego też zapewne popierali przeważnie akt członkowie irlandzcy.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 5-ty powieści pod tytułem: **Wygnaniec**.

Dzieło premiiowane na konkursie ogłoszonym przez Redakcję „Bluszczu”

Książka pod tytułem:

O WYCHOWANIU MACIERZYŃSKIM

PRZEZ

ZOFIĄ KOWERSKĄ

Wyszła z druku.

Komitet złożony z PP. Paul. Kraków, Jadw. Sikorskiej, P. Chmielowskiego, Flor. Łagowskiego, R. Plenkiewicza i Henr. Struve, uproszony przez Redakcję „Bluszczu” do rozpoznania rękopismów uznał powyższą pracę zpomiedzy nadesłanych za najlepszą i dziełu temu nagrodę przysądził.

Publiczność nasza zyskuje w powyższej książce cenny nabytek, wspomagający kobietę w jednym z najważniejszych zadań jej życia.

Cena egzemplarza Rs. 2 kop. 25; w oprawie Rs. 2 kop. 75 jest, do nabycia u Wydawcy i we wszystkich księgarniach.

TREŚĆ. Nić tradycyi, przez M. Ilnicką. — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Z Pragi Czeskiej. — Listy z zagranicy, J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów). — Kronika działalności kobiecej.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 12 Мая 1882 года.